

Donna Haraway

## Manifest gatunków stowarzyszonych\*



## Emergentne naturokultury

Z Notatek córki dziennikarza sportowego:

*Pani Cayenne Pepper nieustannie kolonizuje moje komórki – to bez wątpienia przypadek tego, co biologka Lynn Margulis nazywa symbiogenezą. Założę się, że gdyby sprawdzić nasze DNA, znalazłoby się tam wiele wzajemnych silnych transfekcji. Jej ślina musi zawierać wektory wirusowe. Jej pocałunkom z językiem trudno się oprzeć. Mimo że obie należymy do typu kręgowców, zamieszkujemy nie tylko odmienne rodzaje i rodziny, ale i całkowicie różne rządy.*

*Jak możemy to uporządkować? Psowate, człowiekowate; zwierzę domowe, profesorka; suka, kobieta; zwierzę, człowiek; zawodniczka, treserka. Jedna z nas ma mikroczip wszczepiony pod skórę na szyi w celu identyfikacji; druga ma kalifornijskie prawo jazdy ze zdjęciem. Jedna z nas, będąca wytworem bogatej mieszkanki genetycznej, jest określana jako „rasowa”; druga,*

---

\* Tłumaczenie na podstawie: Donna Haraway, *The Companion Species Manifesto: Dogs, People and Significant Otherness*, Prickly Paradigm Press, Chicago 2003. Licencję do tekstu posiada Prickly Paradigm Press LLC, Chicago, Illinois, U.S.A., © Prickly Paradigm Press LLC. Wszystkie prawa zastrzeżone.

również wytwór bogatej mieszanki, jest nazywana „białą”. Oba te określenia niosą ze sobą dyskurs rasy, którego konsekwencje odczuwamy w naszych ciałach.

*Jedna z nas jest u szczytu ognistych, młodzieńczych, fizycznych osiągnięć; druga jest energiczna, ale ma już swoje lata. Uprawiamy sport zespołowy zwany agility na tej samej odebranej rdzennym mieszkańcom ziemi, na której przodkowie Cayenne paśli merynosy. Owce te importowano z (również kolonialnej) Australii, by nakarmić kalifornijskich poszukiwaczy złota. W tych warstwach historii, warstwach biologii, warstwach naturokultur chodzi o złożoność. Skacząc przez płotki i czolgając się w tunelach po torze gry, obie jesteśmy spragnionymi wolności potomkiniami podboju, wytworami kolonii białych osadników.*

*Jestem pewna, że nasze genomy są do siebie bardziej podobne, niż powinny. Musi istnieć jakiś molekularny zapis naszej bliskości w kodach życia, który zostawi ślady w świecie, bez względu na to, że obie zostałyśmy pozbawione możliwości reprodukcji, jedna za sprawą wieku, druga za sprawą chirurgii. Jej prędkość i giętki język wchodził w kontakt z tkankami moich migdałków, z wszystkimi ich gorliwymi receptorami immunologicznymi. Kto wie, gdzie moje receptory chemiczne zaniósł jej wiadomości albo co ona przejęła z mojego układu komórkowego, służącego do odróżniania siebie od innego i łączenia zewnątrz z wewnątrz?*

*Odbyłyśmy zakazaną rozmowę; odbyłyśmy stosunek oralny; opowiadamy sobie historię po historii, złożone z niczego innego, jak tylko z faktów. Ćwiczymy się nawzajem w aktach komunikacji, które ledwo rozumiemy. Jesteśmy, konstytutywnie, gatunkami stowarzyszonymi. Wynajdujemy się nawzajem, we własnych osobach i cieleśnie. Znacząco inne dla siebie, pozostające w relacji konkretnej różnicy, ucieleśniamy znaczenie złośliwej infekcji zwanej miłością. Miłość ta jest historyczną aberracją i naturokulturowym dziedzictwem.*

Manifest ten skupia się na dwóch kwestiach wpływających z powyższej aberracji i dziedzictwa. Po pierwsze: jaką etykę i politykę przyczyniającą się do rozkwitu znaczącej inności można wyprowadzić z poważnego potraktowania relacji ludzi i psów; po drugie: jak historii o ludzko-psich światach mogą

w końcu przekonać tępych Amerykanów, a może również innych, mniej historycznie upośledzonych ludzi, że historia ma znaczenie dla naturokultur?

Manifest gatunków stowarzyszonych to dokument osobisty, naukowy wypad na zbyt wiele niedostatecznie rozpoznanych terytoriów, polityczny akt pokładania nadziei w świecie znajdującym się na krawędzi globalnej wojny oraz, nieustannie i z zasady, praca w toku. Przedstawiam pogryzione przez psy uzasadnienia i na wpół wytresowane argumenty, aby przekształcić historie, które znaczą bardzo wiele dla mnie jako naukowczyni i jako usytuowanej w miejscu i czasie osoby. Historie te dotyczą głównie psów. Będąc namiętnie zaangażowana w te relacje, mam nadzieję, że skłonię moich czytelników do spędzenia w psiarni całego życia. Mam jednak także nadzieję, że nawet ci, którzy boją się psów – albo po prostu żyją wyższymi sprawami – znajdą tu argumenty i opowieści mające znaczenie dla światów, w których być może już żyjemy. Wchodzący w skład psich światów aktorzy i praktyki, zarówno ludzkie, jak i nie-ludzkie, powinny znajdować się w centrum badań nad technonauką. Co jeszcze bliższe mojemu sercu, chcę by moi czytelnicy wiedzieli, dlaczego uważam pisanie o psach za gałąź teorii feministycznej (albo na odwrót).

Nie jest to mój pierwszy manifest; w 1985 r. opublikowałam *Manifest cyborgów*, próbując wydobyć feministyczny sens z technonaukowej implozji, jakiej uległo współczesne życie. Cyborgi to „cybernetyczne organizmy”, wymyślone w latach 60. w kontekście wyścigu kosmicznego, zimnej wojny i imperialistycznych fantazji o technohumanizmie, obecnych w polityce i projektach naukowych. Próbowałam potraktować cyborgi krytycznie, to znaczy nie czcić ich ani nie potępiać, ale podejść do nich w duchu ironicznego przejęcia do celów, o jakich nie śniło się kosmicznym wojownikom.

Opowiadając o kohabitacji, koewolucji i ucieleśnionej międzygatunkowej solidarności, stawiam pytanie o to, która z dwóch zestawionych ze sobą figur – cyborgi czy gatunki stowarzyszone – może owocniej zainspirować znośną politykę i ontologię dla współczesnych światów życia. Figury te nie są bynajmniej spolaryzowanymi przeciwieństwami. Zarówno cyborgi, jak i gatunki stowarzyszone gromadzą razem to, co

ludzkie i to, co nie-ludzkie, organiczność i technologię, węgiel i krzem, wolność i strukturę, historię i mit, bogatych i biednych, władzę i podmiot, różnorodność i ubóstwo, nowoczesność i ponowoczesność oraz naturę i kulturę – na różne nieoczekiwane sposoby. Ponadto ani cyborg, ani zwierzę towarzyszące nie radują miłośników czystości, marzących o lepiej chronionych granicach między gatunkami i sterylizacji kategoryalnych dewiantów. Niemniej jednak różnice między nawet najpoprawniejszym politycznie cyborgiem a zwyczajnym psem mają znaczenie.

Zawłaszczyłam cyborgi i zaprzęłam je do wykonywania feministycznej roboty w epoce Reaganowskich Gwiazdnych Wojen w latach 80. Pod koniec tysiąclecia cyborgi nie wykonują już jednak pracy dobrych psów pasterskich, zbierających razem wszystkie wątki potrzebne do krytycznego badania. Z radością schodzę więc na psy, aby prześledzić genealogię narodzin psiarni, a tym samym skonstruować narzędzia dla współczesnej filozofii nauki i teorii feministycznej, dla czasów, w których kolejni Bushowie dążą do zastąpienia powolnego wzrostu nadających się do życia naturokultur polityką budżetu węgla obejmującą każdą formę życia na Ziemi. Ponieważ nosiłam szkarłatne litery: „cyborgi dla przetrwania Ziemi!” dostatecznie długo, znakuję się dziś sloganem, który mogły wymyślić tylko kobiety od psich sportów: „biegnij szybko, gryź mocno!”.

To opowieść o biowładzy i biospołecznieniu, jak również o technonauce. Jak każda porządna darwinistka, opowiadam historię o ewolucji. Opowiadam, w stylu milenaryzmu kwasu nukleinowego, o molekularnych różnicach – jednak o różnicach związanych nie tyle z Mitochondrialną Ewą z neokolonialnego *Pożegnania z Afryką*, co z pierwszymi mitochondrialnymi sukami, które pojawiły się na drodze człowieka przygotowującego się do odegrania roli gwiazdy w Opowieści Wszechczasów. Suki należały zamiast tego na opowiedzenie historii o gatunkach stowarzyszonych, historii bardzo zwyczajnej i przyziemnej, pełnej nieporozumień, niezwykłych osiągnięć, zbrodni i odradzających się nadziei. Moja opowieść to opowieść studiującej nauki przyrodnicze i należącej do konkretnego pokolenia feministki, która, dosłownie, zesłała na psy. Psy, w całej ich historycznej złożoności, mają tu znaczenie. Nie stanowią alibi dla

innych tematów, a cielesne, materialno-semiotyczne obecności w obrębie korpusu technonauki. Psy to nie surogat teorii; nie są tu tylko po to, żeby z nimi myśleć. Są po to, żeby z nimi żyć. Wspólnicy w zbrodni ludzkiej ewolucji są w rajskim ogrodzie od początku, chytre jak Lis Przechera.

### Ujęcia (*prehensions*)

Moje przechadzki z psami w tym manifeście zostały ułatwione przez liczne wersje filozofii procesu. Na przykład Alfred North Whitehead opisuje „to, co konkretne” jako „zrost ujęć”. „To, co konkretne” oznaczało dla niego „aktualne zaistnienie”. Rzeczywistość to aktywny czasownik, a wszystkie rzeczowniki wydają się imiesłowami, wyposażonymi w więcej przyssa-  
wek niż ośmiornica. Byty konstytuują siebie same oraz siebie nawzajem poprzez „ujęcie (*prehension*)” czy chwytanie. Byty nie poprzedzają swoich relacji. „Ujęcie (*prehension*)” ma swoje konsekwencje. Samo to słowo to ruchomy węzeł. Zarówno kulturowy, jak i biologiczny determinizm stanowią przykłady zawieruszenia konkretności. Po pierwsze wskazują na błąd uznania za świat prowizorycznych i lokalnych abstrakcji kategoryalnych, takich jak „natura” czy „kultura”, a po drugie niestosowność uznania sugestywnych konsekwencji za istniejące uprzednio podstawy. Nie ma żadnych pierwotnie ukonstytuowanych podmiotów i przedmiotów, nie ma też pojedynczych źródeł, jednostkowych aktorów czy celów ostatecznych. Jak powiedziałyby Judith Butler: są tylko „przygodne podstawy”; ich pochodną stanowią ciała, które znaczą. Bestiariusz sprawczości, typów powiązań i czasu przekraczający wyobrażenia nawet najbardziej barokowych kosmologów. To właśnie oznaczają dla mnie *gatunki stowarzyszone*.

Moja miłość do Whiteheada jest zakorzeniona w biologii, ale bardziej jeszcze w doświadczanym przeze mnie praktykowaniu teorii feministycznej. Teoria feministyczna, z jej odrzuceniem myślenia typologicznego, dualizmów, jak również rozmaitych relatywizmów i uniwersalizmów, oferuje bogate spektrum ujęć emergencji, procesu, historyczności, różnicy, specyficzności, kohabitacji, współkonstytuowania się i przygodności. Wiele

teoretyczek feministycznych odrzuciło zarówno relatywizm, jak uniwersalizm. Wytworami powiązań ich prac są podmioty, przedmioty, rodzaje taksonomiczne i gramatyczne, rasy, gatunki biologiczne i literackie. Żadna z tych prac nie ma na celu odnalezienia miłych i słodkich – „kobiecych” – słów i typów wiedzy wolnych od spustoszeń i płodności władzy. Badania feministyczne polegają raczej na próbach zrozumienia, jak to działa, kogo można odnaleźć w tym działaniu, co mogłoby być możliwe, i w jaki sposób ziemscy, materialni aktorzy mogliby stać się odpowiedzialni za siebie nawzajem i kochać się nawzajem w mniej okrutny sposób.

Na przykład Helen Verran, która bada prowadzone w językach angielskim i Joruba lekcje matematyki w szkołach podstawowych w Nigerii po odzyskaniu niepodległości, jak również uczestniczy w podejmowanych przez australijskich Aborygenów projektach dotyczących nauczania matematyki i polityki ochrony środowiska, wyróżnia „emergentne ontologie”. Verran zadaje „proste” pytania: jak ludzie zakorzenieni w odmiennych praktykach poznawczych dogadują się ze sobą, zwłaszcza w sytuacjach, w których łatwy relatywizm kulturowy nie wchodzi w grę, ze względów politycznych, epistemologicznych lub moralnych? Jak można wytwarzać i kultywować wiedzę ogólną w obrębie postkolonialnych światów, nastawionych na poważne traktowanie różnicy? Odpowiedzi na te pytania można sformułować jedynie na gruncie emergentnych praktyk, czyli w ramach kruchej, przyziemnej pracy zbierającej razem niemożliwe do zharmonizowania podmiotowości i sposoby życia, odpowiadające zarówno za swoje odziedziczone, niewspółmierne historie, jak i za ledwie możliwą, ale absolutnie konieczną wspólną przyszłość. To właśnie oznacza dla mnie *znaczącą inność*.

Charis (Cussins) Thompson, przy okazji badań nad praktykami wspomaganej medycynie reprodukcji w San Diego oraz nad teorią i praktyką ochrony bioróżnorodności w Kenii, wprowadziła pojęcie „ontologicznych choreografii”. Zapis tańca bytu to coś więcej niż metafora; ludzkie i nie-ludzkie ciała są rozkładane na części i składane z powrotem w trakcie procesów, które każą nam uznać pewność siebie i humanistyczną lub organicystyczną ideologię za złych przewodników w dziedzinach etyki i polityki, a tym bardziej w dziedzinie osobistego doświadczenia.

I, w końcu, Marilyn Strathern, opierając się na długoletnich badaniach historii i polityki Papui-Nowej Gwinei, jak też na badaniach praktyk uznawania pokrewieństwa, pozwoliła nam zrozumieć, dlaczego niemądre jest pojmowanie „natury” i „kultury” jako przeciwieństw albo uniwersalnych kategorii. Jako etnografka kategorii relacyjnych pokazuje nam, jak myśleć używając odmiennych topologii. Zamiast systemu opozycji binarnych otrzymujemy cały szkicownik, pozwalający nam nakreślić wszystkie przejawy relacyjności. Strathern myśli w kategoriach „częściowych powiązań”, czyli wzorów, w ramach których poszczególni gracze nie są ani całościami, ani częściami. Ja nazywam je relacjami znaczącej inności. Myślę więc o Strathern jako o etnografce naturokultur; z pewnością nie będzie ona mieć nic przeciwko zaproszeniu jej do psiarni na międzygatunkową rozmowę.

Dla teoretyczek feministycznych stawką jest dokładnie to, kto i co znajduje się w świecie. Otrzymujemy dzięki temu świetny filozoficzny przysmak, pozwalający wytresować nas do ujmowania zjawiska gatunków stowarzyszonych zarówno w kategoriach głębokiego czasu zapisanego w DNA każdej komórki, jak i w kategoriach nowszych wydarzeń, pozostawiających silniejsze ślady zapachowe. Ujmując rzecz w bardziej staroświeckie słowa, *Manifest gatunków stowarzyszonych* to wezwanie do uznania pokrewieństwa, umożliwionego zrośnięciem się wielu aktów ujęcia licznych rzeczywistych sposobności. Gatunki stowarzyszone spoczywają na przygodnych podstawach.

Moje struktury pokrewieństwa, przypominające wytwory dekadenceckiego ogrodnika, który nie potrafi podtrzymywać stosownej różnicy między naturą i kulturą, wyglądają raczej jak trejaż czy pergola, niż jak drzewo. Nie da się odróżnić góry od dołu, wszystko wydaje się rozrastać na boki. Taki pokretny, węzowy ruch stanowi jeden z moich głównych motywów. Mój ogród jest pełen węży, trejaży, pełen intryg i podstępów. Poinstruowana przez biologów ewolucyjnych i bioantropologów, wiem, że wielokierunkowy przepływ genów – wielokierunkowy przepływ ciał i wartości – zawsze był istotą gier życia na ziemi. Dzięki temu uzyskujemy wstęp do psiarni.

Psy i ludzie – ci wielcy, obecni na całej ziemi, ekologicznie oportunistyczni, towarzyscy i będący ssakami współtowarzy-



sze podróży, wpisali nawzajem w swoje genomy szereg połączeń i infekcji, mogący wzbudzić zazdrość nawet najbardziej fanatycznych zwolenników wolnej wymiany rynkowej. Nawet na wyspach Galapagos nowoczesnej hodowli psów rasowych – która w swoich próbach izolowania rozmnażających się populacji i zubażania dziedzictwa ich różnorodności może sprawiać wrażenie eksperymentu, dążącego do odtworzenia sytuacji naturalnej katastrofy, populacyjnego efektu wąskiego gardła lub epidemii – nie da się powstrzymać obfitości przepływu genów. Będąc pod wrażeniem tej wymiany, ryzykuję wyalienowanie mojego starego sobowtóra, cyborga, aby przekonać czytelników i czytelniczki, że psy mogą być lepszymi przewodnikami, pomagając nam znaleźć drogę przez gąszcz technobiopolityki w Trzecim Tysiącleciu naszej ery.

## Towarzysze

W *Manifeście cyborgów* usiłowałam stworzyć umowę, trop, figurę umożliwiającą życie w obrębie współczesnej technokultury i docenianie związanych z nią umiejętności oraz praktyk, bez jednoczesnego zapominania o nieoczywistym, postnuklearnym świecie i jego transcendentnych, bardzo materialnych kłamstwach. Cyborg może być figurą życia wewnątrz sprzeczności, uwrażliwiającą na naturokulturowy wymiar naszych codziennych praktyk, umożliwiającą przeciwstawienie się zgubnym mitom narodzin z samego siebie i akceptację śmiertelności jako nieodłącznej kondycji życia oraz uważność wobec nowo powstałych historycznych hybryd zaludniających świat we wszystkich jego przygodnych wymiarach.

Figura cyborga nie wyczerpuje jednak całego spektrum pracy koniecznej dla zarysowania ontologicznej choreografii technonauki. Zaczęłam postrzegać cyborgi jako młodsze ródzeństwo, wchodzące w skład znacznie większej, perwersyjnej rodziny gatunków stowarzyszonych, dla której biotechnopolityka reprodukcyjna stanowi, ogólnie, nowość i niespodziankę – czasem nawet miłą niespodziankę. Wiem, że Amerykanka w średnim wieku uprawiająca *agility* ze swoim psem nie jest godną przeciwniczką zautomatyzowanych żołnierzy, terrory-



stów i ich transgenicznej rodziny, opisywanej w annałach filozofii lub etnografii technokultur. Jednak, po pierwsze, auto-kreacja nie jest moim celem, po drugie, inżynieria genetyczna nie jest naszym wrogiem i, po trzecie, wbrew niebezpiecznym i nieetycznym zachodnim projekcjom przekształcającym udomowione psowate w owłosione dzieci, psy nie są skupione na sobie. Na tym właśnie polega ich piękno. Nie są projekcją, urzeczywistnieniem intencji ani przyczyną celową czegokolwiek. Są psami, czyli gatunkiem zaangażowanym w wiążący, konstytutywny, historyczny, zmienny związek z ludźmi. Związek ten nie jest szczególnie miły; dużo w nim marnotrawstwa, okrucieństwa, obojętności, ignorancji i utraty, ale również radości, wynalazczości, pracy, inteligencji i zabawy. Chcę nauczyć się opowiadać tę wspólną historię i dziedziczyć naturokulturowe konsekwencje owej koewolucji.

Nie może istnieć jeden gatunek stowarzyszony; aby go utworzyć, konieczne są co najmniej dwa. Na tym polega jego składnia; taka jest jego materia. Psy opowiadają nieuniknioną, pełną sprzeczności historię relacji – relacji współkonstytutywnych, w ramach których żaden z partnerów nie istnieje uprzednio wobec zaistnienia relacji, a związek nigdy nie zawija się raz i na zawsze. Historyczna swoistość i przygodna zmienność panują tu, w naturze i kulturze, w naturokulturach, niekwestionowane. Nie ma podstawy; są tylko słonie stojące na grzbietach innych słoni, aż do samego końca.

Zwierzęta towarzyszące to tylko jeden rodzaj gatunku stowarzyszonego; żadna z tych kategorii nie ma w amerykańskiej angielszczyźnie szczególnie długiej historii. Termin „zwierzę towarzyszące” pojawia się od połowy lat 70. w kontekście pracy w szkołach weterynaryjnych i podobnych miejscach. Badania te mówią nam, że posiadanie psa (co nie dotyczy tych nielicznych mieszkańców Nowego Jorku, którzy szaleją na widok niesprzątniętej psiej kupy na ulicy) obniża ciśnienie krwi i zwiększa szanse na przetrwanie w obliczu dzieciństwa, operacji albo rozvodu.

Pojawiające się w językach europejskich odniesienia do funkcjonowania zwierząt jako towarzyszy, a nie psów pracujących lub psów-sportowców, wyprzedzają z pewnością o całe stulecia ową amerykańską biomedyczną, technonaukową literaturę. Co

więcej, w Chinach, Meksyku oraz w wielu innych starożytnych i współczesnych kulturach można znaleźć liczne świadectwa, archeologiczne i ustne, funkcjonowania psów jako ulubieńców. W Amerykach przedkolumbijskich psy pomagały wielu ludom w transporcie, polowaniu i wypasaniu stad. Dla innych były źródłem pożywienia albo futer. Miłośnicy psów woleliby nie pamiętać, że były one także śmiertelną bronią i narzędziami terroru w trakcie podboju obu Ameryk przez Europejczyków, jak również w imperialnych podróżach Aleksandra Wielkiego. Hodowca psów rasy Akita i pisarz John Cargill przypomina nam, że przed nastaniem wojen cyborgicznych tresowane psy stanowiły jedno z najlepszych inteligentnych systemów broni. Z kolei osy tropiące terroryzowały niewolników i więźniów, jak również ratowały zaginione dzieci i ofiary trzęsień ziemi.

Wymienianie wszystkich tych funkcji nie wydaje się zbliżać nas do stworzenia różnorodnej historii występowania psów w symbolice i opowieściach na całym świecie; nie mówi nam też, w jaki sposób psy były traktowane albo jak postrzegały swoich ludzkich współtowarzyszy. Marion Schwartz pisze w książce *A History of Dogs in the Early Americas* (Yale 1971), że niektóre spośród indiańskich psów myśliwskich przechodziły te same rytuały przygotowawcze, co ich ludzie, łącznie, w przypadku plemienia Achuar z Ameryki Południowej, z przyjmowaniem substancji halucynogennych. W pracy *W towarzystwie zwierząt* (przeł. A. Alichniewicz, A. Szczęśna, Warszawa 1999) James Serpell twierdzi, że konie miały dla XIX-wiecznych Komanczów z Wielkich Równin ogromną wartość praktyczną. Były jednak traktowane w sposób utylitarny, podczas gdy psy, hodowane jako ulubieńcy, bywały przedmiotem opowieści, a wojownicy oplakiwali ich śmierć.

Niektóre psy były i są traktowane jak szkodniki; innym urządzi się pogrzeby jak ludziom. Współczesne psy pasterkie plemienia Navajo związane są z własną ziemią, owcami, ludźmi, kojotami oraz ludzkimi i psimi obcymi na różne historycznie swoiste sposoby. W miastach, wsiach i obszarach rolniczych na całym świecie psy wiodą żywoty równoległe wśród ludzi, mniej lub bardziej tolerowane, czasem wykorzystywane, a czasem prześladowane. Żaden termin nie jest w stanie oddać sprawiedliwości tej historii.

Termin „zwierzę towarzyszące” pojawia się jednak w obrębie amerykańskiej technokultury za sprawą powstałych po wojnie domowej rolniczych i technicznych instytucji akademickich, w których skład wchodziły szkoły weterynaryjne. „Zwierzę towarzyszące” ma więc rodowód odsyłający do skrzyżowania ze sobą technonaukowej ekspertyzy i praktyki posiadania zwierząt ulubieńców, charakterystycznej dla epoki późnoprzemysłowej. Zwierzęta towarzyszące to konie, psy, koty lub cała rzesza innych istot chętnych do tego, by ulec bioSpołeczeniu jako pies pomocnik, członek rodziny albo członek drużyny w międzygatunkowym sporcie. Ogólnie mówiąc, nie zjadamy własnych zwierząt towarzyszących (ani nie jesteśmy przez nie zjadani); mamy też trudności z pozbyciem się kolonialnego, etnocentrycznego, ahistorycznego podejścia do tych, którzy je zjadają (lub dają się zjadać).

## Gatunki

„Gatunki stowarzyszone” to kategoria szersza i bardziej różnorodna niż kategoria zwierząt towarzyszących, nie tylko dlatego, że trzeba do niej włączyć takie byty organiczne jak ryż, pszczoły, tulipany i flora bakteryjna jelit, które czynią ludzkie życie tym, czym jest (a my odgrywamy dla nich tę samą rolę). Chciałabym, by lista słów kluczowych dla „gatunków stowarzyszonych” składała się z czterech tonów, rozbrzmiewających jednocześnie w lingwistycznym i historycznym aparacie artykulacyjnym, umożliwiającym wyartykułowanie tego terminu.

Po pierwsze, jako sumienna córka Darwina chcę położyć nacisk na ton historii biologii ewolucyjnej, z jej kategoriami populacji, wskaźników przepływu genów, wariacji, selekcji oraz gatunków biologicznych. Toczące się przez ostatnie 150 lat dyskusje, dotyczące tego, czy kategoria „gatunek” odnosi się do rzeczywistego biologicznego bytu, czy też jest tylko wygodną kategorią taksonomiczną, pobrzmiwają w tle. Gatunek to kategoria biologiczna, więc specjalistyczna wiedza naukowa jest niezbędna, by wejść w kontakt z tego rodzaju rzeczywistością. Postcyborgiczne pytanie o to, co można uznać za biologiczny rodzaj, problematyzuje wcześniejszą kategorię organizmu. To,

co maszynowe i to, co tekstualne stanowią dziś, w nieodwracalny sposób, część tego, co organiczne (i *vice versa*).

Po drugie, z racji wykształcenia na teoriach Tomasza z Akwinu i innych arystotelików, pozostaję wyczulona na kwestię gatunku jako kategorii filozoficznej. Gatunek, usytuowany w polifonicznej fudze doktryn przyczynowości, służy do definiowania różnicy.

Po trzecie, jako że moja dusza została w nieusuwalny sposób naznaczona przez katolickie wychowanie, wykrywam w kategorii gatunku rzeczywistość Obecność ulegającego transsubstancjacji ciała. Gatunek łączy w sobie cieleśnie to, co materialne i to, co semiotyczne na sposób niemożliwy do przyjęcia dla świeckiej, protestanckiej wrażliwości amerykańskiej akademii oraz większości odmian semiotyki.

Po czwarte, jako osoba nawrócona na Marksa i Freuda oraz wielbicielka wątpliwych etymologii, słyszę w „gatunku” (*species, specie*) echa mamony, złota, hajsu i szajsu, gówna i bogactwa. Dzięki *Love's Body* Normana O. Browna zapoznałam się z umożliwionym przez połączenie Freuda i Marksa kursem wymiany gówna na złoto, prymitywnej biomasy na cywilizowany metal. Połączenie to pojawia się w nowoczesnej amerykańskiej kulturze psiarzy, z jej potężnym utowarowieniem, żarliwymi praktykami miłości i pragnienia, w jej strukturach wiążących ze sobą państwo, społeczeństwo obywatelskie i liberalną jednostkę; z jej nieczystymi technologiami wytwarzającymi czyste rasowo podmioty i przedmioty. Kiedy uzbajam rękę w folię zdjętą – dzięki dokonaniom badawczym imperiów chemii przemysłowej – z porannego wydania „New York Times’a”, żeby sprzątnąć mikrokosmiczny ekosystem, pospolicie zwany kupą, wytwarzany codziennie na nowo przez któregoś z moich psów, nie mogę nie dostrzec w tym żartu, prowadzącego mnie na powrót do wspólnej historii wcielenia, ekonomii politycznej, technonauki i biologii.

Podsumowując, „gatunki stowarzyszone” to czteroczęściowa kompozycja, określana przez współkonstituowanie się, skończoność, nieczystość i złożoność.

*Manifest gatunków stowarzyszonych* dotyczy więc implozji natury i kultury w nieugięcie swoiste historycznie, wspólne żywoty ludzi i psów, powiązanych relacjami znaczącej inno-

ści. Wielu zostaje interpelowanych, by pojawić się w tej historii, która jest pouczająca również dla tych, którzy próbują zachować higieniczny dystans. Chciałabym przekonać moich czytelników i czytelniczki, że jesteśmy, słownie i faktycznie, mieszkańcami technokultury, częścią symbiogenetycznych, naturokulturowych tkanek.

Termin „interpelacja” przejmuję z rozwiniętej przez francuskiego poststrukturalistycznego i marksistowskiego filozofa Louisa Althussera teorii przekształcania konkretnej jednostki w podmiot, na drodze jej ideologicznego „wzywania” do zajęcia pozycji podmiotu przez nowoczesne państwo. Obecnie za sprawą naszych nasyconych ideologią opowieści o ich życiu, zwierzęta „wzywają” nas, byśmy zdali sprawę z rzeczywistości, w której one i my musimy żyć. My z kolei „wzywamy” je, by stały się częścią naszych konstruktów natury i kultury, co ma poważne konsekwencje dla życia i śmierci, zdrowia i choroby, długowieczności i wymierania. Żyjemy jednak razem, cieleśnie, na wiele sposobów, których ideologie nie ujmują. Opowieści są bogatsze niż ideologie. W tym nasza nadzieja.

Powyższy długi filozoficzny wstęp stanowił pogwałcenie głównej reguły pojawiających się w tym manifestie *Notatek córki dziennikarza sportowego*, pisanych ku czci mojego ojca, dziennikarza sportowego. *Notatki* zakładają, że nie należy odbiegać od samych opowieści o zwierzętach. Przesłanie musi być integralną częścią opowieści; reguła ta obowiązuje wszystkich – praktykujących lub byłych katolików oraz ich towarzyszy podróży – wierzących, że słowo i ciało są jednym.

Piszę *Notatki*, zdając relację z faktów, opowiadając prawdziwe historie. Zadaniem dziennikarza sportowego jest, a przynajmniej było, zdawanie relacji z przebiegu gry. Wiem to, ponieważ jako dziecko siadywałam późnym wieczorem w łożu prasowej na stadionie klubu baseballowego Denver Bears, patrząc, jak mój ojciec pisze i wygładza swoje historie o meczach. Dziennikarz piszący o sporcie ma, być może w większym stopniu niż inni dziennikarze, osobliwą pracę – musi opowiedzieć, co się stało, snując opowieść zawierającą tylko fakty. Im żywsza proza, tym lepiej; im zręczniejsza i wierniej zostanie wytworzona, tym mocniejsze metafory, tym prawdziwsza historia. Mój ojciec nie chciał prowadzić działu sportowego, co w biznesie dzienni-

karskim stanowi działalność bardziej prestiżową. Chciał pisać sprawozdania z meczy, być tam, gdzie się coś dzieje, zamiast tropić skandale i polować na tematy do działu. Mój ojciec wierzył w grę, jednoczącą fakt i opowieść.

Wyrosłam na łonie dwóch wielkich instytucji, które podały w wątpliwość modernistyczne przekonanie o rozwodzie bez orzekania winy między opowieścią i faktem, spowodowanym przez poważne różnice charakteru. Obie te instytucje – Kościół i Prasa – słyną z korupcji oraz z pogardy, jaką darzy je Nauka; są jednak niezbędne, by zaspokoić ludzki nienasycony głód prawdy. Słowo i ciało; opowieść i fakt. W moim domu rodzinnym partnerzy ci byli nierozłączni; byli, mówiąc przyziemnie i dosłownie, ze sobą związani. Nic dziwnego, że gdy dorosłam, natura i kultura uległy dla mnie implozji. Implozja ta nigdzie nie była silniejsza, niż w przypadku nawiązywania relacji i wypowiedania czasownika, który uchodzi za rzeczownik: „gatunki stowarzyszone”. Czy nie to miał na myśli Jan, mówiąc: „A Słowo stało się ciałem”? W dziewiątej zmianie, kiedy Denver Bears przegrywają o dwa obiegi, po zdobyciu trzech punktów, drugim aucie i drugim strajku, a czas na skończenie sprawozdania upływa za pięć minut?

Wyrosłam także w domostwie Nauki i mniej więcej wtedy, kiedy zaczęły mi rosnąć piersi, dowiedziałam się, ile podziemnych przejść łączy ze sobą poszczególne jego części i jak wiele połączeń utrzymuje razem słowo i ciało, opowieść i fakt w pałacach wiedzy pozytywnej, falsyfikowanych hipotez i syntetyzującej teorii. Ponieważ interesowałam się biologią, wcześniej dowiedziałam się, że opowiadanie o ewolucji, rozwoju, funkcjach komórki, złożoności genomu, kształtowaniu się formy, ekologii behawioralnej, komunikacji systemów, funkcjach poznawczych – słowem, opowiadanie o czymkolwiek wartym nazwy biologii – nie różni się zbyt od tworzenia sprawozdania z meczu albo od życia z wszystkimi jego dylematami powodowanymi przez ucieleśnienie. Aby porządnie zajmować się biologią, *trzeba* opowiadać historie, *trzeba* uchwytować fakty, *trzeba* też zachować w sobie głód prawdy i gotowość do odrzucenia ulubionej historii czy ulubionego faktu, jeśli okażą się nietrafione. Trzeba też mieć odwagę, by pozostać przy swojej opowieści na dobre i na złe, trwać przy wszystkich jej nieharmonijnych rezonansach,



żyć jej sprzecznościami, jeśli tylko dotyka ona jakiejś istotnej prawdy. Czy to nie ten rodzaj wierności przyczynił się do tego, że historia biologii ewolucyjnej kwitła i nie sycił naszego głodu wiedzy przez ostatnie 150 lat?

Z perspektywy etymologicznej fakt odsyła do działania, czegoś, co zostało zrobione – czynu, wyczynu. Fakt to imiesłów czasu przeszłego dokonanego, coś zrobionego, skończonego, wykonanego, ustalonego, dokonanego. Fakty ustalają termin, którego trzeba przestrzegać, by znaleźć się w następnym wydaniu gazety. Fikcja jest, pod względem etymologicznym, bliska faktowi, różni się jednak czasem gramatycznym i stanowi inną część mowy. Tak jak fakt, fikcja odsyła do działania, stanowi jednak akt kształtowania, formowania, wynajdywania, jak również fabrykowania i fingowania. Wywiedziona z imiesłowu czasu teraźniejszego niedokonanego, fikcja jest zawsze w toku, niedokończona, zawsze narażona na zderzenie się z faktami, ale także zdolna do ukazania czegoś, o czym jeszcze nie wiemy, że jest prawdą, ale czego się dowiemy. Żyć ze zwierzętami, zamieszkiwać ich/nasze historie, starać się mówić prawdę o tych związkach, współzamieszkiwać tworzącą się historię: oto zadanie „gatunków stowarzyszonych”, dla których „relacja” jest najmniejszą możliwą jednostką analizy.

Żyję więc dzisiaj z pisania historii o psach. Wszystkie historie zawierają tropy czy też figury retoryczne niezbędne do tego, by w ogóle cokolwiek powiedzieć. Trop (z gr. *tropós*) oznacza odchylenie lub skręt. Język jako taki nie robi nic innego, jak tylko odchyła się od właściwego kursu i skręca; nie ma znaczenia bezpośredniego; tylko dogmatycy myślą, że możemy żyć w świecie komunikacji pozbawionej tropów. Moim ulubionym tropem prowadzącym do opowieści o psach jest metaplazm. Oznacza on przekształcenie słowa, na przykład poprzez dodanie, usunięcie, przestawienie lub zamianę liter, sylab lub głosek. Termin pochodzi od greckiego słowa *metaplasmos*, oznaczającego powtórne kształtowanie lub formowanie. Metaplazm to termin ogólny dla niemal każdego przekształcenia w obrębie słowa, zamierzonego lub niezamierzonego. Moje użycie metaplazmu odsyła do przekształceń psich i ludzkich ciał, formowania kodów życia w historii relacji gatunków stowarzyszonych.



Porównajmy i skontrastujmy ze sobą „protoplazmę”, „cytoplazmę”, „neoplazmę” (nowotwór) czy *germplasm*. Istnieje swego rodzaju biologiczne upodobanie do metaplazmu – a to właśnie lubię w słowach dotyczących słów. Ciało i znaczące, ciała i słowa, opowieści i światy: wszystkie zostają ze sobą połączone w obrębie naturokultur. Metaplazm może oznaczać błąd, potknięcie, które stwarza materialną różnicę. Metaplazmem może być na przykład zamiana elementu w łańcuchu zasad kwasu nukleinowego, zmieniająca działanie genu, a tym samym i tok danego życia. Z kolei zmiana w praktykach hodowców psów, taka jak preferowanie hodowli typu *outcrossing* (kojarzenie psów niespokrewnionych) kosztem *line breeding* (kojarzenie psów spokrewnionych), może być wynikiem zmiany znaczenia słów takich jak „populacja” i „różnorodność”. Odwracanie znaczeń; operacje na ciele komunikacji; przekształcanie, (re)formowanie; odchylenia, które prowadzą do prawdy: opowieści na opowieściach, aż do samego końca. Hau.

Ten manifest dotyczy z założenia czegoś więcej, niż tylko relacji psów i ludzi. Psy i ludzie są tu figurami pewnego kosmosu. Cyborgi, ze swoim historycznym połączeniem tego, co maszynowe i tego, co organiczne w obrębie kodów informacyjnych, w których granic nie wyznacza skóra, ale statystycznie określone zagęszczenie sygnałów i hałasu, stanowczo mieszczą się w kategorii gatunków stowarzyszonych. Co oznacza, że cyborgi pozwalają zadać wszystkie pytania o historię/ę, politykę i etykę, jakich domagają się też psy. Troska, rozwój, różnice mocy i władzy, odmienność skal czasowych – wszystko to liczy się dla cyborgów. Czy istnieje na przykład rodzaj czasowego skalowania, mogący ukształtować takie systemy pracy, strategie inwestycyjne i wzorce konsumpcji, dla których czas maszyn informatycznych stałby się kompatybilny z czasem ludzkich, zwierzęcych i roślinnych wspólnot i ekosystemów? Jaki zaprojektować dobry odpowiednik psiej toalety dla komputerów i palmtopów? Wiemy w każdym razie, że nie jest nim wysypisko w Meksyku czy Indiach, gdzie płaci się ludzkim padlinożercom mniej niż nic za przetwarzanie ekologicznie toksycznych odpadów wytwarzanych przez dobrze poinformowanych.

Sztuka i inżynieria stanowią praktyki naturalnie spokrewnione, jeśli chodzi o angażowanie gatunków stowarzyszonych.

Kombinacja ludzi i krajobrazu dobrze wpasowuje się w kategorię gatunków stowarzyszonych, przywołując wszystkie pytania o historię i relacje spajające ze sobą dusze psów i ich ludzi. Szkocki rzeźbiarz Andrew Goldsworthy świetnie to rozumie. Pochłaniają go przepływy czasu przez materię roślin, ziemi, morza, ludu i kamienia. Historia ziemi jest dla niego żywa; na historię tę składają się wielowymiarowe relacje ludzi, zwierząt, gleby, wody i skał. Jego prace to zarówno rzeźbione kryształki lodu, przeplatane gałązkami, jak i kamienne stożki wysokości człowieka, stawiane na obszarach równi pływowych, czy kamienne mury rozciągające się na znacznych odcinkach terenów wiejskich. Posiada zarówno wiedzę artysty, jak i inżyniera dotyczącą sił takich jak grawitacja czy tarcie. Jego rzeźby potrafią przetrwać sekundy lub dziesięciolecia; jednak nigdy nie traci z oczu śmiertelności i zmiany. Zmiana i rozkład – jak też akto-rzy ludzcy i nie-ludzcy, ożywieni i nieożywieni – są jego partnerami i materiałami; nigdy nie stanowią wyłącznie tematu.

W latach 90. Goldsworthy stworzył dzieło zatytułowane *Łuk*. Wraz z pisarzem Davidem Craigiem przemierzył starożytną trasę poganiaczy owiec, prowadzącą ze szkockich pastwisk do angielskiej osady targowej. Podążając nią i dokumentując fotograficznie swoje działania, stawiali, a następnie rozbierali łuk z czerwonego piaskowca, by zaznaczyć miejsca szczególnie istotne dla minionej i obecnej historii zwierząt, ludzi i ziemi. Brakujące drzewa i chaty, historię grodzeń, rozwoju produkcji i handlu wełną, napięte więzy łączące przez stulecia Anglię i Szkocję, warunki możliwości pojawienia się szkockich psów pasterskich i wynajętych pasterzy, owce jedzące i podążające do miejsc, gdzie je strzyżono i zarzynano – wszystko to upamiętnia przenośny kamienny łuk, łączący ze sobą geografię, historię oraz historię naturalną.

Opowieść o psach rasy *collie*, zawarta w *Łuku* Goldswortha, to nie tyle „Lassie, wróć!”, co „pastuchu, wynocha!”. Stanowi to jeden z warunków możliwości bardzo popularnego brytyjskiego programu telewizyjnego poświęconego owym bystrym psom pasterskim, szkockim *border collie*. Ukształtowane genetycznie zgodnie z wymogami zawodów psów pasterskich, urządzanych od końca XIX w., przyczyniły się do popularyzacji tego sportu na różnych kontynentach. Rasa ta dominuje też obecnie

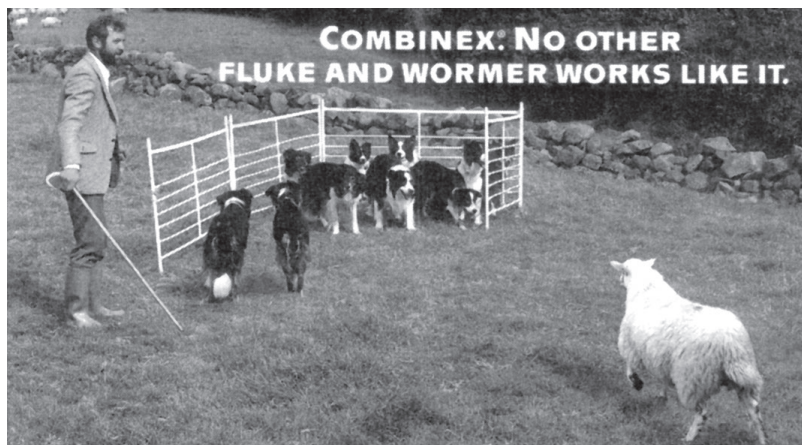
w *agility*. Psy tej rasy są również na wielką skalę porzuca-  
ne i albo ratowane przez pełnych poświęcenia wolontariuszy,  
albo zabijane w schroniskach dla zwierząt. Ludzie oglądający  
program o tych utalentowanych psach często chcą kupić sobie  
jednego z nich, co napędza podaż na rynku. Ci kupujący pod  
wpływem impulsu ludzie mają potem psa, którego trzeba trak-  
tować poważnie i któremu nie mogą zapewnić pracy, będącej  
dla *border collie* czymś niezbędnym. A gdzie w tej historii jest  
miejsce dla pracy wynajętych pasterzy i dostarczających mięsa  
i wełny owiec? Na ile różnych sposobów dziedziczymy cieleśnie  
burzliwą historię nowoczesnego kapitalizmu?

Pytanie implikowane przez sztukę Goldsworthy'ego jest  
następujące: jak można żyć etycznie, pozostając częścią owych  
naznaczonych śmiertelnością i skończonością przepływów, któ-  
re nie skupiają się wokół „człowieka”, ale wokół różnorodno-  
ści łączących nas związków? Jego sztuka jest konsekwentnie  
wyczulona na specyfikę ludzkiego zamieszkiwania ziemi, nie  
jest jednak ani humanistyczna, ani naturalistyczna. To sztuka  
naturokultur. Relacja pozostaje u niego najmniejszą podsta-  
wową jednostką analizy – a relacja nie jest niczym innym, jak  
obecną na wielu poziomach znaczącą innością. Oto etyka, czy  
raczej tryb uwagi, w którym powinno się podchodzić do długiej  
historii kohabitacji ludzi i psów.

W *Manifeście gatunków stowarzyszonych* zamierzam więc  
opowiadać historie o relacjach znaczącej inności, dzięki którym  
ich strony stają się tym, kim są – jako słowo i ciało. Historie  
o ewolucji, miłości, tresurze i rasach albo rodzajach pomagają  
mi myśleć o tym, jak dobrze współegzystować z zastępem ga-  
tunków, które współkonstrytuują ludzi na tej planecie, w każ-  
dym wymiarze czasu, ciała i przestrzeni.

Moje ujęcie ma charakter idiosynkratyczny i orientacyjny,  
a nie systematyczny; tendencyjny, nie osądający, zostało także  
wywiedzione z przygodnych podstaw, nie zaś z jasnych i wy-  
raźnych przesłanek. Historie te dotyczą psów, są one jednak  
tylko jednym z graczy w obrębie znacznie większego świata  
gatunków stowarzyszonych. W tym manifeście, podobnie jak  
w świecie naturokultur, części nie składają się w całość. Za-  
miast całości poszukuję w nim „częściowych powiązań” Ma-  
rilyn Strathern, których istotą są kontrintuicyjne geometrie

i niestosowne translacje, konieczne, by ułożyć jakoś wzajemne relacje w sytuacji, w której niemożliwa jest zabawa w Boga, samowiedza i obcowanie dusz.



W połowie lat 90. powyższe zdjęcie owcy rekompensującej sobie niesprawiedliwość życia poprzez zapędzenie dziewięciu *border collie* do zagrody ozdabiało reklamę produkowanego przez firmę Ciba-Geigy środka przeciw robakom dla owiec i bydła. Zwycięzca angielskich zawodów dla psów pasterskich i ich hodowców, Thomas Longton, zostaje uchwycony przez czujne oko kamery, kiedy przygotowuje się do zamknięcia zagrody za swoimi utalentowanymi psami. Lustrzane odwrócenie tej sceny, pozbawione już odniesień do Combineksu, za to z dodanym do krajobrazu holenderskim wiatrakiem, krążyło później w Internecie. Pozbawione nazwiska autora i informacji pozwalającej je zidentyfikować, nosiło stosowny tytuł „Piekło *border collie*”. Jednak nawet bez wklejonego wiatraka stanowiło cyborgiczny kompozyt. Po pierwsze, dwa razy przedstawiono na zdjęciu tego samego psa, ujętego z różnych perspektyw; młode psy widoczne z tyłu zagrody są przywiązane do płotu niewidocznymi sznurkami; owca została wklejona z innego zdjęcia. „Piekło *border collie*” stanowi dla *Manifestu gatunków stowarzyszonych* kondensację wszystkich ironicznych odwróceń, pojawiających się w naturokulturach. Zwierzęta, ludzie, ziemia i korporacje są częścią tego samego żartu. Zdjęcie może się podobać

również tym, którym 1) podobał się film *Babe. Świnka z klasą* i 2) tym, którzy pracują z psami pasterskimi innymi niż *border collie*. Dziękuję Thomasowi Longtonowi za ulotkę reklamową i opowieść. Składam też podziękowania naukowcom, dziennikarzom, pracownikom korporacji i hodowcom *border collie*, którzy umożliwili mi prześledzenie wszystkich wątków.

*Przełożyła Joanna Bednarek*

# TEORIE WYWROTOWE

## ANTOLOGIA PRZEKŁADÓW

pod redakcją naukową  
AGNIESZKI GAJEWSKIEJ



Wydawnictwo Poznańskie  
Poznań 2012